

Cenzurować każdy by chciał!

24 września 2019

Prezesowi Państwa znów się udało. Tydzień temu grzmotnął news o tym, że Dobra Zmiana będzie ustalała warunki wykonywania zawodu dziennikarza i wszystko poszło nadzwyczaj przewidywalnie. Najemne opozycyjne płaczki natychmiast rozhuśtały ogólnonarodową histerię o faszyzmie, dyktaturze, Węgrzech, Rosji i – a jakże – komunie; a po tygodniu temat zaczyna rozchodzić się po kościach.

Zostanie zapewne odgrzany w stosownym czasie, ale oczywiście animatorem powrotu do dyskusji będzie nie opozycja, a już na pewno nie słabiutcy w swej masie polscy dziennikarze. Zrobi to Jarosław Kaczyński, gdy będzie to dla niego wygodne.

Afera ta jest oczywistym zapuszczeniem balona próbnego ze strony naszego dyktatora wewnątrzpolitycznego procesu w tym kraju: na co jeszcze może sobie pozwolić i jak daleko się posunąć. Niestety, obnaża ona również po raz kolejny impotencję wszystkich ważniejszych politycznych graczy, ale i zupełne brak szacunku dziennikarzy wobec samych siebie, wobec wykonywanego zawodu, o audytorium nie mówiąc.

Kaczyński wygrywa niemal wszystkie takie radykalne posunięcia, bo występuje w nich zawsze z pozycji udzielnego, który definiuje etap i jego mądrość. Teraz naszło go, by zarządzić pismactwem, więc w swej wyłącznej podmiotowości nada mu jakieś ramy, żeby był porządek, a nie warcholący się po studiach i redakcjach zasrańcy. Tak to rozumie on, ale – co gorsza – zmontowanej w ten sposób hierarchii podporządkowują się wszyscy.

Raz się faktycznie Prezesowi Państwa powinęła noga – w 2016 r., gdy grupa fundamentalistycznych prawników przygotowała projekt penalizujący poronienia i spędzanie płodu. Czarny Protest się powiódł nie tylko dlatego, że był masowy; czynnik

ilościowy jest bardzo ważny, lecz on był głównie wyrazem, tego, że polskie kobiety potraktowały sprawę niezwykle osobiście i godnościowo. Dzięki temu w tri miga stały się równorzędnym wobec Kaczyńskiego i jego akolitów podmiotem. Przydały sobie prawa do fizjologicznego, a przez to i politycznego samostanowienia i rychło okazało się, że jeśli Prezes nie ogarnie szybko tego tematu, jego rząd i jego partia zostaną po prostu wysadzone w powietrze. Dlatego Kaczyńskich chwycił się desperackiej kombinatoryki regulaminowo-sejmowej, by zatrzymać pędzący walec z tym projektem ustawy.

Teraz natomiast nie ma on przeciwko sobie nikogo, kto byłby w stanie i miałby śmiałość podnieść głowę i naprawdę powstać z kolan. Choćby na chwilę. Nie ma takiej skali, która pozwoliłaby na moralne czy jakkolwiek w ogóle porównywać polskie kobiety i polskie pismactwo. Dziennikarzy powszechnie się nie lubi i uważa za głupków. W najlepszym razie; w gorszym – za płatnych, cynicznych propagandzistów jakichś ośrodków władzy. Pod wszystkimi tymi inwektywami ja sam chętnie się podpisuję, bo z polskimi dziennikarzami jako środowiskiem się nie utożsamiam, uważam je za nadzwyczaj szkodliwe. Niemniej, wobec tego ataku skłonny jestem go bronić. Gdyż, niezależnie od moich animozji, wszak „są granice, których przekroczyć nie wolno” jak mawiał klasyk.

Nie jest to jednak proste, bo żeby zorganizować sobie jakąś obronę, trzeba mieć przekonanie, że się jej chce, że się na nią zasługuje i potrafić to uzasadnić.

Obiegowe dykteryjki już nie wystarczą – ze standardową paplaniną o cenzurze i prawach człowieka PiS radzi sobie znakomicie. Najlepszą obroną jest w takich okolicznościach atak i tym różni się właśnie podmiot od przedmiotu w polityce, że ten pierwszy podejmuje realną walkę o swoje istnienie i o władzę, albo przynajmniej o rząd dusz. Polscy dziennikarze, gdyby była w nich choćby krzta jakiejś niezależności czy krytycznego myślenia organizowaliby się już dawno sami przeciwko PiS-owskiemu aparatowi propagandy. Zaś tak frontalny

i bezczelny atak jak te najnowsze próby „uregulowania” zawodu dziennikarza wykorzystane powinny być jako pretekst do przedstawienia własnych propozycji i wprowadzenia ich do sfery publicznej jako stałe punkty odniesienia. To właśnie było największe osiągnięcie Czarnego Protestu – nie tylko udało się zatrzymać PiS, ale i uzyskać obietnice złagodzenia obecnej ustawy antyaborcyjnej od Lewicy, która to ma szanse stać się wcale poważną siłą parlamentarną.

Dziennikarze zaś nie mają do zaproponowania niczego poza typowym antykaczyńskim lamentem. Zaproponuję coś więc ja, bez żadnych nadziei, że jakiś Lis, Wielowieyska czy Rachoń to poprą czy choćby ogarną. Ale skoro już temat stanął, to niech wybrzmi chociaż jeden głos wykraczający poza siermięgę wojny polsko-polskiej.

Propozycje Prezesa Państwa są nie do przyjęcia. Pomysł przymusowego samorządu jest w ogóle jakąś groteską i przeczy samej idei samorządności; ona musi polegać na dobrowolnym akcie zrzeszania lub uznania się za jakąś wspólnotę. W innym wypadku nie jest to żaden samorząd, tylko zwyczajny nadzór.

Jednym z zadań tego samorządu miałoby być prowadzenie „samoregulacji”. Oznacza to ni mniej, ni więcej, że każdy dziennikarz, który nie będzie grał według zadanego metrum, zostanie „wyregulowany”. Nieprzychylni władzy dziennikarze nie będą mogli wystosowywać pytań do instytucji w trybie dostępu do informacji publicznej, nie będą mogli też chronić swoich informatorów, bo samorząd wyłączy im status dziennikarzy.

Jest to oczywista chamówka, która póki co w Polsce chyba jeszcze nie przejdzie. Jednak nie jestem zadowolony również z warunków wykonywania tego zawodu panujących obecnie, w których dziennikarze mogą zostać poddani kuriozalnym represjom, nawet za nie swoje słowa czy twierdzenia; np. bywają pozywani za wypowiedzi w udzielonym im wywiadzie. Uważam, że o ile większości branż i rynków srogie regulacje wcale służą, o tyle akurat ten zawód powinien zostać kompletnie uwolniony, nie ma

sensu wydawanie żadnych licencji czy jakakolwiek standaryzacja.

Ustawa o wykonywaniu zawodu dziennikarza powinna składać się z trzech punktów:

1. Każda osoba fizyczna, która zajmuje się dostarczaniem informacji, komentarzem czy inną formą publicystycznego uczestnictwa w debacie publicznej poprzez samodzielne tworzenie publikacji tekstowych lub audiowizualnych jest dziennikarzem.

2. Podmiot korzystający z twórczości dziennikarza jest zobowiązany wystawić mu dokument poświadczający jego pracę w tym charakterze.

3. Żaden urzędnik państwowy, ani funkcjonariusz policji czy którejkolwiek ze służb nie ma prawa żądać ujawnienia źródła pozyskanych przez dziennikarza informacji, jeżeli informacje ujawnione przez dziennikarza są prawdziwe.

I tyle wystarczy.

A jeśli komuś się to nie widzi, to przywróćmy może po prostu Urząd Kontroli Publikacji i Widowisk. Wtedy wszystko będzie jasne i oczywiste, będzie wiadomo do kogo się zwracać z zapytaniem o to, co można, a czego nie można. No i jest w tej nazwie chociaż jakiś etos.

Będzie też w tym taki subtelny element łączenia różnych polskich tożsamości. Jest to oczywiste retro w formie, ale też i pięknie konweniuje z umiłowanym przez Polaków i prawicę mitycznym Zachodem gdzie trendy te ustaliły przecież amerykańskie korporacje.

Autorstwo: Bojan Stanisławski

Źródło: Strajk.eu